

## Zaproszenie

Cześć, nazywam się Tiffany Haddish i chciałabym Wam opowiedzieć kilka historii ze swojego życia. Wiem, że wiele z nich wyda się Wam niewiarygodnych, bo kiedy patrzę wstecz, nieraz sama się dziwię: „Cholera! Serio? To się naprawdę wydarzyło?”.

Kiedy będziecie czytać tę książkę, na Waszych twarzach pojawią się łzy albo uśmiech, chociaż postaram się, na ile potrafię, wywołać u Was to drugie. Wiem, że życie to niezbyt wesoły temat, ale niektóre nasze doświadczenia mogą się okazać naprawdę zabawne. Mogą też być znakomitą lekcją – bo nawet z największego przypału da się wyciągnąć naukę. Dokładnie tak myślę o swoim życiu: każde zwycięstwo to dla mnie lekcja, ale tak samo uczę się na swoich porażkach i wierzę, że pewnego dnia przerodzą się one w wygrane. Dlatego zdecydowałam się napisać tę książkę – w nadziei, że ktoś ją przeczyta i pomyśli: „Jeśli ona mogła, to ja też mogę!”.

Witam więc w moich skromnych progach i zapraszam Was do lektury. Żebyście mi kiedyś nie wypomnieli, że nigdy Was nigdzie nie zaprosiłam.

## Maskotki i bar micwy: lata licealne

Czasy szkolne to był dla mnie trudny okres. Z wielu powodów. Po pierwsze, nie umiałam czytać chyba aż do dziewiątej klasy. Poza tym przez większość liceum wychowywali mnie rodzice zastępczy, a kiedy moja mama ześwirowała, musiałam zamieszkać z babcią. Jednym słowem: do bani.

W liceum byłam dość popularna, ale wcześniej, w przedszkolu i podstawówce, dzieciaki mnie wyśmiewały. Mówiły, że lepią się do mnie muchy i śmierdzą cebulą.

Te muchy to przez pieprzyki na mojej buzi. Mam jeden pod okiem, jeden na brodzie i tak dalej. To było trochę wredne.

Z kolei tekst o cebuli wziął się stąd, że moja mama codziennie robiła na śniadanie jajecznicę – właśnie z cebulą. Każdego dnia musiałam jeść te cholerne jajka. Cały dom śmierdział, a ja przesiąkałam tym smrodem.

OK, to było podłe, mówić, że śmierdzą cebulą, ale... ja naprawdę śmierdziałam cebulą.

Poza tym dzieciaki ciągle się ze mnie naśmiewały, bo mama nie potrafiła mnie uczesać i od przedszkola zawsze nosiłam najdziwniejsze fryzury. Miałam długie i ładne włosy, ale ona nie wiedziała, jak używać wstążek czy ballies (to takie gumki z kolorowymi kulkami, wyguglujcie sobie). Robiła mi tylko afro albo jeden wielki kucyk, ale nie rozczesywała włosów do końca, więc moja głowa przypominała jajo.

Wicie – włosy czarnych kobiet to skomplikowana sprawa. Jeśli je dobrze ułożyć, są piękne. Jeśli nie – wyglądają jak wronie gniazdo. W czarnych dzielnicach dziewczynki mają zawsze urocze fryzury. Noszą wsuwki i inne bajery. Dla czarnych kobiet ładna fryzura jest bardzo ważna.

Ja jej nie miałam. Miałam za to ten cholerny, niesforny meszek<sup>1</sup>. Dlatego uwielbiałam spotkania z ciocią Mary, która zawsze pięknie układała mi włosy, a fryzura trzymała się kilka dni. Żeby jej nie zepsuć, przed snem zakładałam na głowę majtki i w nocy starałam się nie przewracać z boku na bok.

Ze wszystkich przezwisk jedno trzymało się mnie przez bardzo długi czas: Brudas Jednorozec. To dlatego, że wyrosła mi na głowie kurzajka. Myślałam, że to tylko brzydkie znamię, i próbowałam je ukryć. Nosiłam grzywkę i tak dalej, ale ta narośl była duża

i stercząca i nic nie pomagało. Wyrastała mi z głowy jak jakiś kwiat. Odstawała i zawijała się niczym róg.

Dzieciaki bez przerwy się ze mnie śmiały i mnie obgadywały. Doprowadzało mnie to do szału i było bardzo przykre. Marzyłam o zemście, chciałam im jakoś dogryźć, ale nie wiedziałam, jak mogłabym je zranić. Poza tym... ja naprawdę miałam ten róg.

Więc mogłam jedynie ranić siebie. Brałam w trakcie lekcji nożyczki i próbowałam odciąć to cholerstwo, ale wtedy moja twarz zalewała się krwią.

Potem siedziałam, czekając, aż ktoś zwróci na mnie uwagę. A kiedy już jakiś dzieciak zauważył, że krwawię, wpadał w panikę:

Jakiś Dzieciak: Psze pani, Tiffany krwawi!

Jakiś Dzieciak 2: O Boże, o Boże, odcięła sobie róg, o Boże! Psze pani!

Inne dzieci próbowały się mną zająć. Przynosiły mi papierowe ręczniki, martwiły się o mnie. Dzięki temu, że sama siebie raniłam, one przestawały to robić i okazywały mi troskę.

Nauczyciel: Tiffany, dlaczego to zrobiłaś?

Tiffany: Bo ciągle mi dokuczają przez ten róg. Chcę go uciąć, żeby już o nim nie gadały.

Nauczyciele nigdy nie umieli na to sensownie odpowiedzieć.

Potem chodziłam przez trzy albo cztery dni z dziurą w czole, ale po pięciu dniach róg odrastał.

W końcu pewnego dnia rozpłakałam się przez niego przy babci. Wtedy ona złapała mnie i dokładnie przyjrzała się mojej głowie.

Babcia: Dziecko, to nie jest żaden róg! To kurzajka!

Tiffany: Kurzajka?

Babcia: Takie obrzydlistwo. Masz HPV. Czego dotykałaś?

Tiffany: Co to jest HPV?

Babcia: To obrzydliwa kurzajka, którą mają obrzydliwi ludzie od robienia obrzydliwych rzeczy.

Babcia wszystko pomieszała. Teraz, kiedy jestem starsza, wiem, że brodawka skórna nie ma nic wspólnego z brodawką weneryczną. To dwie różne sprawy, ale w oczach babci byłam niegrzeczna i robiłam złe rzeczy.

Na szczęście zabrała mnie do lekarza na wypalanie, a on potwierdził, że to brodawka, i natychmiast usunął to cholerstwo.

Tak też zmarł Brudas Jednorożec i narodził się Ostatni Czarny Jednorożec.

W liceum było o niebo lepiej.

Chodziłam do szkoły o nazwie El Camino Real, gdzie czarnoskórzy stanowili tylko trzy procent uczniów. Uczęszczali do niej głównie biali, Latynosi i Azjaci – w zasadzie wszyscy byli mocno dziani.

Dojeżdżałam do liceum z południowocentralnego Los Angeles. Każdego ranka wstawałam około piątej, żeby złapać autobus o szóstej piętnaście. Codziennie musiałam iść na przystanek

w zimnie. No dobra, mówimy o LA, więc to nie tak, że na ulicach leżał śnieg, ale dla mnie piętnaście stopni to mróz.

Zabawne, że w liceum doceniano wszystko to, co w podstówce wyśmiewano. Byłam świetną mówczynią i miałam niepowtarzalny styl, taki faszyn from Raszyn, a to zaleta w szkole dla bogatych dzieciaków z przedmieść, gdzie wszyscy wyglądali tak samo. Wyróżniałam się.

Prawda jest taka, że odnosiłam w liceum sukcesy dzięki temu, że chciałam chodzić z takim jednym koleśkiem, Audie'em.

Śledziłam go, wysyłałam mu landrynkogramy<sup>2</sup>... Pamiętacie je? Wysyłałam mu NAPRAWDĘ mnóstwo landrynkogramów. Co tydzień aż do dwunastej klasy dawałam mu snickersy. Koleś pewnie ma przeze mnie próchnicę. Próbowałam pisać do niego liściki, ale byłam analfaberką, więc roilo się w nich od masakrycznych błędów, na przykład:

Ty, Audie, bendziemy ze sobom hodzić czy coś?

Byłam w dziewiątej klasie i totalnie nie umiałam czytać ani pisać.

Potrafiłam przeczytać tylko trzyliterowe słowa i napisy w telewizji. To poziom pierwszo- albo drugoklasistki.

A teraz powiem wam coś naprawdę porypanego: byłam w klasie dla kujonów!

Chodziłam do klasy, gdzie zbiera się punkty pozwalające dostać się na lepsze studia, a ja nie potrafiłam pisać ani czytać. Miałam za to gadane i pogrywałam z ludźmi. Ze wszystkimi. Łatwo to robić, kiedy wiesz, że wszystkie te szkolne zasady to pic na wodę i można je obejść.

Kiedy na przykład nauczyciel zadawał nam lekturę, prosiłam, że-by ktoś mi ją przeczytał na głos. Był taki jeden koleś, bardzo mądry, z cudownym barytonem. Mówiłam mu: „O Boże, Curtis, przeczytasz mi to? Uwielbiam słuchać twojego głosu”. Miałam świetną pamięć, więc zapamiętywałam wszystko słowo w słowo i kiedy później musieliśmy czytać na głos, powtarzałam to, co usłyszałam.

Problem pojawiał się, kiedy „czytałam” nie ten akapit, co trzeba. Wyglądało to mniej więcej tak:

Nauczyciel: O czym ty mówisz, Tiffany? Przeczytałaś ostatni akapit, a prosiłem o pierwszy.

Tiffany: Ojejku, przepraszam, muszę siku.

Zrywałam się z miejsca i biegłam do łazienki. W dziewiątej klasie miałam takich nagłych wypadków od groma.

Testy wielokrotnego wyboru to była pestka. Rozśmieszałam ludzi i sprawiałam, że chcieli się ze mną przyjaźnić, a oni pozwalali mi od siebie ściągać. Wypracowania były już trudniejsze, ale tu też znalazłam rozwiązanie. Robiłam tak:

Mówiłam nauczycielom, że jestem chora, albo znajdowałam inny sposób, żeby pisać w późniejszym terminie. Potem pytałam przyjaciół: „Co napisałeś? Powiedz mi wszystko, tylko dokładnie”. Opowiadali mi, a ja zapamiętywałam ich słowa i potem je powtarzałam. Moje wypracowania były pełne błędów ortograficznych i gramatycznych, ale pisałam mniej więcej to, co inni.

Dzisiaj wydaje się to absurdalne, że nie umiałam czytać ani pisać. Miałam niezawodną pamięć, więc to naprawdę dziwne. Ale ja nie czytałam i już. Wiecie dlaczego? Po prostu nie wierzyłam, że mogłabym się tego nauczyć. Myślałam, że jestem głupia.

Zanim poszłam do liceum, codziennie słyszałam od kogoś, że jestem tępakiem. Mój ojczym powtarzał to w kółko. Moja mama mówiła to codziennie, babcia czasami. Dzieciaki w szkole też. Sądziłam, że jestem tumanem, więc nie wierzyłam, że mogę się czegoś nauczyć. Nawet nie próbowałam.

Nienawidziłam, kiedy ludzie mnie wyzywali od głupków. Strasznie mnie to wkurzało i chciałam się bić ze wszystkimi, którzy tak do mnie mówili. Ale wiecie, co jest najśmieszniejsze? Możliwe, że oni mnie wcale nie wyzywali. Jako dorosła kobieta pracowałam w liniach lotniczych i jeden ze współpracowników powiedział, że jestem głuptakiem. Od razu się zagotowałam:

Tiffany: Jeszcze raz nazwij mnie głupią, a spuszczę ci, kurwa, łomot.

Współpracownik: Kurde, próbowałam ci powiedzieć, że jesteś zabawna! Uważam, że jesteś zabawna, dlatego tak cię nazwałam. Jesteś taką pozytywną wariatką.

Tiffany: O cholera. Sorry, nie będę cię bić za komplement.

Wtedy zaczęłam sobie myśleć: „A jeśli przez te wszystkie lata ludzie próbowali mi powiedzieć, że jestem zabawna, a mnie tylko się wydawało, że wyzywają mnie od półgłówków, bo sama się czułam głupia?”.

Dobra, ale wróćmy do analfabetyzmu i prób chodzenia z Audie'em.

Skończyło się tak, że Audie mnie wydał i wszyscy się dowiedzieli, że nie umiem czytać ani pisać. Oczywiście nie zrobił tego celowo. Chodził na zajęcia teatralne, więc ja też się zapisałam. Rozkminiłam to tak, że jest jedynym czarnym koleśkiem w grupie i jeśli do nich dołączę, to będę tam jedyną czarną dziewczyną. Pomyślałam sobie: „Założę się, że każą nam się całować. Będziemy grać męża i żonę albo coś w tym stylu. To rasistowska szkoła, na pewno zrobią z nas parę”.

Ale nie. Musieli, kurwa, pokazać, jacy są postępowi, zintegrowani i kij wie, co jeszcze. Audie dostał latynoską żonę. A ja co? Miałam być samotną matką?

Tiffany: Dlaczego to ja mam być statystką? To nie fair. Chcę się całować z Audie'em.

Nauczycielka: Co?

A najgorsze było to, że Audie'emu to pasowało. Wysyłałam mu te wszystkie snickersy, a on zafundował mi kielich goryczy.

To właśnie nauczycielka od kółka teatralnego zorientowała się, że nie umiem czytać. Pod koniec dziewiątej klasy poprosiła, żebym została po lekcjach, bo już wiedziała o moich przekrętach. I wtedy mnie przygwoździła.

Pani Gree: Tiffany, chcę, żebyś spróbowała zagrać ten fragment. Co ty na to? To rola u boku Audie'ego.

Tiffany: No pewnie, psze pani! Wchodzę w to!

Pani Gree: Świetnie, tak sądziłam, że ten pomysł ci się spodoba. Przeczytaj tę stronę, zobaczymy, jak ci pójdzie.

Tiffany: Okej, psze pani, wezmę scenariusz do domu i nad nim popracuję. Przygotuję rolę na jutro.

Pani Gree: Podziwiam twoją rzetelność, Tiffany, ale nie. Chcę, żebyś przeczytała to teraz.

Tiffany: Hmm... Niedobrze mi.

Pani Gree: Trzydzieści sekund temu wyglądałaś na zdrową. To jakiś szybko postępujący wirus.

Tiffany: O tak! Może to ebola! Lepiej pójdę do pielęgniarki, zanim panią zarażę.

Pani Gree: Tiffany... umiesz czytać?

Tiffany: Pewnie, że umiem!

Pani Gree: Więc przeczytaj ten fragment, a potem pójdziesz do pielęgniarki. Przeczytaj, a rola jest twoja.

Tiffany: Ładnie dziś pani wygląda. Zmieniła pani fryzurę?

A ona tylko: nie, nie, nie, nie, nie! Przyłapała mnie.

Ale podeszła do tego spoko. Nikomu nie powiedziała. Zabierała mnie z lekcji o odżywianiu i codziennie ćwiczyła ze mną czytanie. Dzięki niej w miesiąc przeskoczyłam z poziomu pierwszej do dziewiątej klasy. Po prostu siadała ze mną, dawała mi jakiś fragment i tyle.

Jak już nauczyłam się czytać... to było, jakbym posiadała supermoc! Nie byłam głupia! Słowa układały się w sensowne zdania!

Potem pani Gree zapisała mnie na konkurs recytatorski. Występowałam już na festiwalu teatralnym z całą grupą i zdobyliśmy pierwsze miejsce za Makbeta, ale wtedy grałam tylko wiedźmę. Łatwizna: „Dalej, dalej, siostry wiedźmy, / Czarodziejski krąg zawiedzmy”<sup>3</sup>. Superłatwe.

Teraz trafiłam na Festiwal Szekspirowski. Trzeba było wygłosić monolog, więc grałam wszystkie postaci. W mniejszych konkursach radziłam sobie całkiem nieźle, ale ten był naprawdę duży.

I co? I zajęłam pierwsze miejsce! Pokonałam prawie czterystu małych teatralnych nerdów.

Kiedy ogłosili, że wygrałam, na scenie stało nas tylko dwoje: ja i taki biały typek. Para finalistów. Gostek wygrywał we wszystkich poprzednich latach, więc każdy się spodziewał, że i tym razem będzie tak samo. Gdy usłyszałam swoje nazwisko, totalnie mi odbiło. Pamiętam tylko, że byłam w szoku, cała dygotałam, a potem odstawiłam szalony taniec zwycięstwa. Babka, która mi wręczała nagrodę, dosłownie się wściekła:

Babka od nagrody: Zachowuj się, dziewczyno! Zachowuj się!

Tiffany: Przecież się zachowuję!

Chyba właśnie wtedy przeżyłam swój pierwszy orgazm. Jestem prawie pewna, że miałam go, stojąc na tej scenie. A potem nie wiedziałam już, co się dzieje. Zaczęłam się trząść i denerwować, zalał mnie pot, miałam dreszcze. Byłam taka szczęśliwa.

Wiecie, z czego się najbardziej cieszyłam?

Ta wygrana oznaczała, że będę mogła pierwszy raz w życiu sama kupić sobie parę butów.

A to dlatego, że tydzień przed konkursem założyłam się z facetem mojej ciotki. Zaczął mi cisnąć, że nie dam rady.

Facet Ciotki: Nie dasz rady. Cały ten teatr jest dla białych. Nie ma opcji.

Tiffany: Wygrywałam już mniejsze konkursy.

Facet Ciotki: Nie wygrasz. Szekspir jest dla białych.

Tiffany: Zakład, że wygram?!

Facet Ciotki: Daj spokój, mała! Założę się o sto dolców, że polegiesz.

Kiedy wróciłam do domu, wparowałam do środka z nagrodą.

Ciotka: Wygrałaś?

Tiffany: No pewnie. Mam nagrodę, i w ogóle!

Facet Ciotki: Nie wygrałaś! Ukradłaś nagrodę jakiemuś białemu dzieciakowi!

Wierzcie mi, wyciągnęłam z cwaniaka swoje sto dolców i wydałam je na parę martensów.

Wszyscy je nosili, a co najważniejsze, Audie mówił, że podobają mu się dziewczyny w martensach. Nie sądził, że będzie mnie na nie stać. Wcześniej nosiłam buty z dyskontu, które przypominały glany, ale tak naprawdę były to zwykłe trepy. Zakładałam czarne podkolanówki, żeby wyglądać bardziej cool. Ale nic z tego. Nie wyglądałam cool.

No, ale wygrałam! Pokonałam prawie czterystu nerdów w bitwie o parę butów.

Następnego dnia nie wsiadłam do szkolnego autobusu, tylko poszłam aż do Shoe Warehouse, żeby kupić martensy. Potem wsiadłam do metra i zjawiłam się w szkole spóźniona o jakieś trzy, cztery godziny, ale za to BUM! Miałam na nogach nowiuteńkie glany marki Dr. Martens.

Okazało się, że mimo to Audie wcale mnie nie polubił. Wciąż mnie nie chciał.

Zostałam więc szkolną maskotką. Dosłownie – w dziesiątej klasie odgrywałam postać Konkwistadora widniejącego w godle liceum El Camino Real.

Najpierw próbowałam się załapać do czirliderek, ale one miały za dużo zasad. Te ich zasady to był jakiś absurd: nie wolno przeklinać, nie można się spóźniać, trzeba malować codziennie rzęsy i układać włosy. A na dodatek nie można sobie tańczyć, kiedy ma się ochotę. Więc zapytałam:

Tiffany: Jakie reguły obowiązują szkolną maskotkę?

Nauczyciel: Maskotki nie mają reguł.

Tiffany: To ja chcę być maskotką.

Nikt inny nie starał się o tę posadę, więc ją dostałam.

Kiedy „maskotkowałam” po raz pierwszy, nie miałam jeszcze kostiumu. Był na mnie za duży i babcia musiała zrobić kilka poprawek. Założyłam więc koszulkę, na której napisałam wielkimi czarnymi literami: KOSTIUM BĘDZIE ZA DWA TYGODNIE. BABCIA ROBI POPRAWKI.

Wszystkim się spodobało.

Odwaliałam wtedy zajebisty show. Biegałam po boisku z megafonem i krzyczałam do tłumu, co ma robić.

Tiffany: El Cam... – co?!

Tłum: ...mino!

Tiffany: El Cam... – cooooo?!

Tłum: ...MINO!

Tiffany: My jesteśmy?!

Tłum: Cool drużyną!

Rozdawałam słodycze, wyciągałam kibiców z trybun na boisko i z nimi tańczyłam, wymyślałam przeróżne rzeczy. Oglądałam ESPN, żeby zobaczyć, co robią profesjonalne maskotki, i podkradałam ich pomysły. Byłam niezła.

Właściwie to chciałam zostać czirliderką (a potem maskotką) tylko po to, żeby obracać się wśród piłkarzy – bo Audie grał w piłkę. W drużynie było też kilku innych niezłych kolesi, więc doszłam do wniosku, że to dobry sposób na znalezienie chłopaka i zaliczenie któregoś.

Żadna część mojego planu nie wypaliła, ale przynajmniej stałam się najpopularniejszą dziewczyną w szkole. Powiesili nawet na ścianie plakietkę z moim nazwiskiem. A najlepsze jest to, że w ostatniej klasie jako szkolna maskotka zaczęłam ZARABIAĆ.

Dostawałam pięćdziesiąt dolców za mecz, co było w mojej szkole wydarzeniem bez precedensu.

A stało się tak, bo w jedenastej klasie Audie powiedział, że nie możemy być razem.

Audie: Nie mogę chodzić z jakąś maskotką. Żadna maskotka nie będzie moją dziewczyną. Będą mnie nazywać pomocnikiem maskotki. Nie ma mowy.

Chcąc wzbudzić w nim zazdrość, znalazłam innego chłopaka z drużyny piłkarskiej. Był rok młodszy i nosił mi torbę. No więc zaczęli go nazywać pomocnikiem maskotki.

Audie: Widzicie? Dlatego się z nią nie wożę. Nie jestem żadnym pomocnikiem maskotki.

W ostatniej klasie tamten koleś ze mną zerwał. Miał dosyć tego, że ludzie nazywali go pomocnikiem maskotki. Nie chciał się tak ośmieszać, więc powiedziała dyrektorowi, że muszę zrezygnować. I rozgadałam wszystkim, że odchodzę, bo szukam chłopaka. Myśleli, że to żart, ale kiedy zobaczyli, że odpuściłam pierwszy mecz w ostatniej klasie, stwierdzili, że w takim razie nie będą już kibicować.

Frekwencja spadła. Połowa ludzi nie przyszła na kolejny mecz, bo Konkwistador zmył się na emeryturę.

Wtedy dyrektor zaprosił mnie na rozmowę.

Dyrektor: Co mogę zrobić, żebyś wróciła na boisko, Haddish?

Tiffany: Chcę mieć chłopaka.

Dyrektor: Nie załatwię ci chłopaka. Czy mogę zrobić coś innego?

Tiffany: Potrzebuję tylko chłopaka.

Dyrektor: Co powiesz na podwójną punktację na koniec szkoły?

Tiffany: Mam wystarczającą liczbę punktów, bo co roku chodzę do letniej szkoły. Potrzebuję chłopaka.

Dyrektor: Proszę, Tiffany, bądź rozsądna. Nie mogę ci znaleźć chłopaka. Co powiesz na rekompensatę za słodycze, które rozdajesz?

Tiffany: Nie! Chcę chłopaka.

Dyrektor: A coś innego? Co byś chciała?

Tiffany: Dobra... Dajcie mi stówę za każdy mecz.

Dyrektor: Nie możemy ci dać stu dolarów. Damy ci dwadzieścia pięć.

Tiffany: Siedemdziesiąt pięć.

Dyrektor: To niemożliwe. Nie mogę dać ci siedemdziesięciu pięciu dolarów rekompensaty za słodycze.

Tiffany: Nie chodzi o słodycze, tylko o mój czas, który spędzam bez chłopaka. Jeśli chcę sobie znaleźć chłopaka, muszę zadbać o fryzurę, paznokcie, muszę stać się gorącą laską, a bycie maskotką na pewno mi w tym nie pomaga, więc nie mogę tego zrobić.

Dyrektor: Pięćdziesiąt dolarów to jest maksimum. I musisz przynosić paragony za cukierki.

Tiffany: Dobra, umowa stoi, panie dyrektorze.

Bum! Dostawałam pięć dych za mecz i miałam zadbane włosy i paznokcie.

Zarabianie na byciu maskotką to świetna sprawa, ale jeszcze lepsze było to, że dzięki „maskotkowaniu” dostałam pierwszą prawdziwą pracę w branży rozrywkowej.

Zostałam mianowicie producentką energii na bar micwach. Producent energii to określenie, którego mieszkańcy białych przedmieść używają w stosunku do hypemana, czyli kolesia, który rozkręca imprezy. Można powiedzieć, że zostałam Flavorem Flavem żydowskich przyjęć. A raczej Flavą Flav.

Dzięki mnie była zabawa na całego. Później pracowałam też jako MC i DJ. Przez jedenaście lat obskoczyłam ponad pięćset bar micw.

A wszystko zaczęło się na szkolnej dyskotecie. Normalnie rozwalałam system. Wokół mnie utworzyło się duże koło – tak tańczyłam i tak dobrze bawiłam się z ludźmi, i w ogóle. Kiedy tylko idę na imprezę, zawsze robi się wokół mnie kółko i wszyscy krzyczą: „Dajesz, Tiffany! Dajesz!”.

Na tamtej dyskotecie grał profesjonalny didżej. Po wszystkim podszedł do mnie.

Didżej: Dziewczyno! Jesteś niesamowita. Ogarniasz jakieś imprezy?

Tiffany: Uwielbiam imprezować.

Didżej: Chciałbym, żebyś pracowała w mojej firmie. Obstawiamy imprezy firmowe i bar micwy. To moja wizytówka, zadzwoń do mnie, umówimy się na spotkanie.

Pomyślałam sobie: „Co za obleśny typ”.

Problem był taki, że nie wiedziałam, czym jest bar micwa. Nie miałam zielonego pojęcia, ale brzmiało obrzydliwie. Byłam przekonana, że ten facet to jakiś oblech, ale nie chciałam być niemila, więc wzięłam wizytówkę. Pokazałam ją babci.

Tiffany: Babciu, ten człowiek zaproponował, żebym tańczyła na imprezach firmowych i bar micwach. Dasz wiarę?

Babcia: To na co czekasz? Dzwoń do niego! Zbliżysz się do swojego ludu.

Tiffany: Jakiego ludu?

Babcia: Dziecko, jesteś Żydówką.



Tiffany: No co ty! Jestem świadkową Jehowy.

Babcia: Nie jesteś. Jesteś Żydówką. Świadkowie Jehowy to wyznanie. Twój lud to Żydzi.

Mówiła o moim ojcu, który jest Żydem. Pochodzi z Erytrei, która graniczy z Etiopią. Tak naprawdę w Rogu Afryki mieszka wielu Żydów. Mimo że są czarni, są też Żydami.

Tiffany: Mój lud?

Babcia: Tak, twój lud! Jesteś Żydówką! Powinnaś dowiedzieć się więcej o drugiej części swojej rodziny, ze strony taty.

Tiffany: To czemu nawet go nie znam?

Babcia: Bo popełnił kilka błędów i musiał poukładać sobie życie. Ale wysyłał pieniądze. Wszystkie lekcje tańca, kółko gimnastyczne, na które chodziłaś, kiedy byłaś mała, wszystko zawdzięczasz ojcu. Wysyłał mi pieniądze, a ja zapisywałam cię na te zajęcia.

Nikt mi tego wcześniej nie powiedział. Jakoś trudno mi było uwierzyć, że mój ojciec wysyłał pieniądze.

Babcia: Dzwonimy do tego człowieka.

Tiffany: Nie chcę do niego dzwonić. On chce, żebym wchodziła na bar i pokazywała swoją micwę.

Babcia: O czym ty mówisz, dziecko?

Tiffany: No wiesz, moją micwę! Nie chcę być striptizerką, babciu!

Babcia: O Boże, dziecko, proszę cię.

Myślałam, że bar micwa oznacza, że się wchodzi na bar i pokazuje się swoją micwę – no wiecie, cipkę. Bo przeraził mnie sposób, w jaki ze mną rozmawiał ten DJ, i myślałam, że to właśnie miał na myśli.

Babcia do niego zadzwoniła i zawiozła mnie do biura, które mieściło się w jego domu. Ale co to, kurna, za biuro! Miał osiemnaście lat i kierował swoją didżejską firemką z domu mamusi. Urządził odpowiednio swój pokój i nazwał firmę Enterprise Entertainment, bo lubił Star Treka. Całe pomieszczenie pomalował na czarno i obkleił gwiazdkami, które świeciły w ciemności. Wstawił też futon, który nazywał kanapą, i małe biurko.

Na imię miał Tim, ale mówiliśmy na niego DJ Timbo.

Siedziałyśmy z babcią na pseudokanapie, a on nam objaśniał tajniki bar micw. Zaczynał, kiedy miał dwanaście lat – z wujkiem, który zajmował się didżejowaniem w firmie o nazwie Hart to Hart – ale potem odszedł i założył własny biznes.

Chciał, żebym została jego pierwszą pracownicą. Był przekonany, że podbijemy rynek.

Babcia: Uważasz, kochaniutki, że czarna dziewczynka poradzi sobie na bar micwach?

DJ Timbo: Zdecydowanie! Ma w sobie energię, wspaniały uśmiech, świetną osobowość. Myślę, że da radę.

Babcia: Chcesz to robić, dziecko?

Tiffany: Taa.

Babcia: Ile zapłacisz mojej wnusi?

DJ Timbo: Cztery dychy za każdą imprezę.

Babcia: Chcesz zarabiać czterdzieści dolarów za imprezę?

Tiffany: Brzmi spoko.

Koleś zaczął zabierać mnie na przyjęcia. Nigdy nie zapomnę pierwszego. Pracowałam na nim razem z bratem DJ-a Timbo, Thomasem Ianem Nicholasem. Grał w filmie Debiutant roku4, a teraz obstawiał ze mną imprezę! Dla mnie to było takie... ŁAAAAŁ.

Tłumaczył mi, jak mam tańczyć, a ja sobie myślałam: „Koleś naprawdę chce mi pomóc. Pewnie uważa, że jestem niezłą laską”.

Po imprezie poprosiłam o jego numer. Odpowiedział, że jestem dziwna, i mnie splawił. Pewnie byłam za bardzo nachalna.

W każdym razie później DJ Timbo przysłał mi list. Prawdziwy, odręcznie napisany list. Napisał w nim, że byłam do niczego, że nie mogę przez cały czas tańczyć wokół jednego koleśka, zwłaszcza takiego, który również tam pracuje. I że muszę być bardziej skupiona na pracy, mam ogarniać całą imprezę i w ogóle. Zaserwował mi porządną analizę wszystkiego, co zrobiłam źle. Pisał: „Oto twoje czterdzieści dolców. Jeśli uważasz, że w przyszłości sobie jednak poradzisz, daj znać, ale jeśli się nie czujesz na siłach, to nie dzwoń”.

Tiffany: Chłopie, mogę zrobić wszystko, o czym napisałeś, i jeszcze więcej. Stary, proszę cię, kiedy następna impreza?

Kolejnym razem byłam już niezłe nakręcona. Bawiłam się ze wszystkimi – ze starymi, z młodymi. Wszyscy mnie naśladowali i tańczyli każdy mój układ. Odstawiłam to, co wymyśliłam na pokazy w trakcie meczów, kiedy byłam maskotką. Na bar micwach robiłam fale i takie tam. Byłam świetna.

I tak dorabiałam sobie w weekendy przez następną dekadę.

Po dwóch latach awansowałam na MC. Zarabiałam dwieście dolców na każdej imprezie, a w weekendy trzysta. Dobra kasa jak na nastolatkę.

Jedyną negatywną stroną bar micw było to, że zabiłam jednego faceta.

Poważnie, nie ściemnam.

Miałam wtedy około dwudziestki. Pracowałam na bar micwach już czwarty rok i przez ten czas bardzo się wyrobiłam. Wymiałam.

Impreza odbywała się w dolinie San Fernando. Tańczyłam i rozgrzewałam publikę. W pewnej chwili zauważyłam starszego pana, który wydawał się przygnębiony. Moim zadaniem było zachęcić do zabawy wszystkich gości, więc podeszłam do niego tanecznym krokiem.

Tiffany: Zatańczy pan ze mną?

Staruszek: Nie, nie, nie.

Tiffany: Proszę, widzę, że ma pan ochotę potańczyć!

Staruszek: Nie, nie, jestem stary, tańcz z młodymi.

Mówił „nie”, ale widziałam, że chce się zgodzić, więc go chwyciłam za rękę, a on się natychmiast podniósł i wszedł ze mną na parkiet. Złapałam go za krawat i dałam z siebie wszystko.

Tiffany: Taaaaaaaak! Dajmy czadu, chłopaku, pokaż, co potrafisz!

Staruszek: Uuuuuuuuu!

Wkręcił się na całego. Cieszył się, że ludzie wiwatują, a impreza wreszcie się rozruszała.

Puściłam jego krawat i zaczęliśmy tańczyć prosty układ. W pewnym momencie odwróciłam się i delikatnie zamachałam przed nim tyłeczkiem. Tak troszeczkę, dokładnie przed kroczem tego staruszka, pyk-pyk. Potem odskoczyłam i zaczęłam znowu normalnie tańczyć, ale zobaczyłam, że wszyscy się na mnie gapią, totalnie zszokowani.

Spojrzałam za siebie, a on leżał na podłodze. Na plecach, trzymając się za serce.

Tiffany: O kurna! O kurna!

Wszyscy rzucili się w stronę staruszka. Na przyjęciu byli lekarze, którzy od razu zabrali się do roboty. Robili mu sztuczne oddychanie i takie tam.

Ale najdziwniejsze było to, że biedak przez cały ten czas się uśmiechał. Przysięgam na Boga, że facet był uśmiechnięty.

Przyjechała karetka i zabrała go do szpitala. Pojawiła się też policja, więc już wiedziałam, że pójdę siedzieć. Uznałam, że skoro jestem jedyną czarną na imprezie, to przyjechali po mnie. Powiedzą, że zabiłam staruszka. Nie ma zmiłuj. Myślałam, do kogo powinnam zadzwonić, i przyzwyczajałam się do myśli o pacy.

Policjanci: Okej, to chyba tyle. Jeśli będziemy mieć dodatkowe pytania, odezwiemy się.

A potem zwyczajnie sobie odjechali. Zastanawiałam się, o co tu, kurna, chodzi.

Staruszek zmarł w szpitalu. Tymczasem ja siedziałam w domu i myślałam, że policja niedługo się zjawi, żeby zabrać mnie do więzienia.

Postanowiłam więc zrezygnować z pracy. Żadnego tańca, żadnych imprez, nada. Koniec z tym. DJ Timbo bez przerwy wydzwaniał i mówił, że klienci proszą właśnie o mnie.

Tiffany: Nie mogę tego zrobić. Nie mogę. Nie teraz. To nie jest dobry moment. Boję się.

DJ Timbo: Tiffany, oni proszą właśnie o ciebie. Chcą, żebyś przyszła.

Tiffany: Nikt nie powinien się do mnie zbliżać. Jestem niebezpieczna.

DJ Timbo: Tiffany, twój tyłek nie jest zabójcą.

Tiffany: Właśnie, że jest! Ten facet nie żyje.

DJ Timbo: Dziewczyno, ten koleś był stary. Przyszedł na niego czas. Założę się, że zmarł szczęśliwy. Pewnie pierwszy raz w życiu tańczył z czarną laską. To była najlepsza noc jego życia.

Ale Timbo mnie nie namówił. Tamten staruszek nawet nie chciał tańczyć, a ja go zmusiłam. A potem zatrzęsłam przed nim tyłkiem... I teraz on jest martwy! Czułam się jak jakaś dupna morderczyni.

Niedługo potem dostałam list od jego córki. Wysłała mi wielki napiwek i kartkę z podziękowaniami. Napisała, że nikt z bliskich nigdy nie widział go tak szczęśliwego, że od dawna nie widzieli takiego uśmiechu na jego twarzy i takiej radości. Dodała też, że spodziewali się tego już od jakiegoś czasu, bo miał prawie dziewięćdziesiąt lat, i wiedzieli, że

niedługo odejdzie. Podziękowała za wszystko, co zrobiłam, i zapewniła, że nie powinnam się obwiniać.

Właściwie miała racje. Poza tym sama mówiła, że bym tańczyła ze wszystkimi na tej imprezie. Wprost poprosiła, że bym rozruszała trochę starszych gości. A może ona chciała, że bym go zabiła? Sama już nie wiem.

Po tym liście wróciłam do pracy na bar micwach. Płacili mi już czterysta dolców za imprezę. Zbyt dobra kasa, żeby odmówić.

1 Ang. naps, nappiness, nappy hair – charakterystyczne krótkie włoski rosnące u czarnoskórych (zwłaszcza kobiet) tuż przy linii włosów. Określenie uznawane za obraźliwe, czasem nazywane „drugim słowem na »n«” (the other n-word).

2 Ang. candygram – pudełko cukierków bądź lizaków dostarczane z pozdrowieniami lub inną wiadomością; zwyczaj popularny podczas tańców walentynkowych.

3 William Szekspir, Makbet, akt IV, scena I, tłum. J. Paszkowski, Lwów – Złoczów 1908, [https://pl.wikisource.org/wiki/Makbet\\_\(Shakespeare,\\_t%C5%82um.\\_Paszkowski,\\_1908\)/Akt\\_czwarty](https://pl.wikisource.org/wiki/Makbet_(Shakespeare,_t%C5%82um._Paszkowski,_1908)/Akt_czwarty), dostęp: 15 października 2021 r.

4 Oryg. Rookie of the Year – amerykańska komedia z 1993 roku, w której Thomas Ian Nicholas gra zawodnika drużyny baseballowej Chicago Cubs.